

WIECZORY RODZANNE

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

22



Pogadanki o sztukach pięknych.

IV.

Rzeźba u Greków.

Widzieliśmy już w dziejach architektury, że nigdzie u ludów starożytnych sztuka nie doszła do tak wysokiej doskonałości, jak u Greków. Egipcjanie i Assyryjczycy wznosili olbrzymie budowle, których widok wzbudzał podziwienie, a czasem grozą przemawiał, ale nie odznaczające się wcale ogromem świątynie greckie, ozdobne portyki i kolumnady marmurowe, zachwycały i do dziś jeszcze zachwycają widzów nieporównaną pięknnością i wdziękiem swych kształtów.

Toż samo prawie można powiedzieć i o rzeźbie. U Egipcjan i Assyryjczyków wyobrażenia bóstw i mocarzy miały głównie na celu uwydatnienie siły i potęgi. Stawiano więc posągi kolosalne, często potworne, na wpół ludzkie, na wpół zwierzęce, sfinksy, byki z głową ludzką; przytém w szczegółach starano się głównie o wierne naśladowanie natury, cała umiejętność rzeźbiarzy na tém się zasadzała.

Grecy pierwsi wyrobili sobie pojęcie prawdziwego piękna i ideału w sztuce. Nie widząc w całej przyrodzie nic piękniejszego i doskonalszego od postaci człowieka, nadawali tę postać wszystkim swoim bóstwom. Nie należy jednak wyobrażać sobie, że oni czcili te marmurowe i spiżowe posągi w taki sposób, jak dzicy ludzie naprzykład czczą swoje bałwany, z drzewa lub kamienia wyciosane. Pojęcie o Bogu jedynym, wszechpotężnym i doskonałym, jakkolwiek zaciemnione i fałszem ska-

żone, tkwiło na dnie mitologii Greków. I oni także, jak wszystkie ludy pogańskie, ubóstwiali siły przyrody, słońce, wodę, ziemię urodzajną, gromy, błyskawice, wichry i chmury. Wszystkie te siły bujna ich wyobraźnia oblekała w kształty bogów i bogiń.

Przytém i różnych bohaterów rzeczywistych, wielkich wojowników i potężnych władców, porównywano do bóstw i wprowadzano po śmierci do

Olimpu, a opowiadania o czynach ich, przechodząc z ust do ust, przyozdabiały się w różne szczegóły nadzwyczajne, bajeczne. Ztąd powstała z czasem owa zagmatwana mitologia grecka ze swoim mnóstwem bogów, półbogów i bohaterów.

W czasach najdawniejszych Grecy rzeźbili posągi bóstw z drzewa i przybierali je w szaty ze zwyczajnych tkanin; było to coś nakształt lalek. Zwyczaj ten, jak utrzymują pisarze starożytni, miał ztąd pochodzić, iż na cześć tego lub owego bożka stawiano słup drewniany lub kamień stożkowatego kształtu, a potem na wierzchołku słupa lub stożka, przyszło komuś do głowy wyrznąć głowę ludzką, jako wyobrażenie bóstwa.

Według starożytnego podania, rzeźbiarz nazwiskiem Dedal pierwszy zaczął wyrznąć prawdziwe posągi, z rękami i nogami oddzielonemi od reszty ciała i oczyma otwartemi. Ateńczycy utrzymywali, że ten artysta pochodził z ich miasta, ale są także podania o Dedalu z wyspy Krety; możnaby więc wnosić iż było dwóch, albo nawet kilku Dedalów. Prawdopodobnie jednak imię to, które oznacza w języku Greków to samo, co sztukmistrz, człowiek przemyślny, nadawane było różnym ludziom, sły-



Minerwa (posąg grecki).

nącym z jakiego niezwykłego talentu. To pewna, że później nazywano *dedalami* każdy posążek drewniany, z odległej starożytności pochodzący.

Nie ulega wątpliwości, że Grecy brali najpierwsze wzory do rzeźb swoich od Egipcyan i Assyryczyków, a niemałe w tém usługi oddawać im musieli fenicycy żeglarze, rozwozący po całym świecie wyroby przemysłu i sztuki różnych narodów. Z najstarożytniejszych zabytków można wnosić, że i Grecy w początkach naśladowali wiernie naturę w swoich rzeźbach, zwykle też przedstawiali w posągach postaci sztywne, całkowicie pozbawione życia i wyrazu. I oni zapewne musieli się trzymać z razu pewnych prawideł i przepisów z góry zakreślonych, zwłaszcza gdy szło o wyobrażenia bóstw. Nadawało to wszystkim rzeźbom i posągom pozór jednostajny, a artysta skrępowany takimi prawidłami, od których mu nie wolno było odstępować, nie mógł rozwinąć własnych pomysłów i iść za natchnieniem swojego talentu. Już dawniej wspominaliśmy, że sztuka tego rodzaju nazywa się hieratyczną.

Ale Grecy mieli daleko więcej samodzielności od Egipcyan i ludów wschodnich, nie dawali się tak ować ani kapłanom, ani despotycznym mocarzom, prędko więc i w dziełach sztuki wyzwolili się od wszelkiego przymusu. Bo też naród ten miał nadzwyczajne zdolności do sztuk pięknych, a wrodzonym tym zdolnościom sprzyjały, i wyobrażenia religijne, i obyczaje, i nawet cała otaczająca przyroda.

Niektórzy mędracy greccy mieli wzniosłe pojęcia o bóstwie, o początku i przeznaczeniu ducha ludzkiego. Przeczuwali oni prawdy odwieczne, których nie znali. Nauczali naprzykład, że dusza człowieka jest nieśmiertelną iskrą Bożą, a dostawszy się na ziemię, tęskni tu na wygnaniu do niebieskiej swój ojczyzny i usiłuje sobie przypomnieć doskonałość, którą tam widziała, a której w tém życiu napotkać nigdzie nie może. Ztąd wyprowadzano wniosek, że artysta, przedstawiając bóstwo w postaci człowieka, powinien budzić w sobie wspomnienie nadziemskiej doskonałości, to jest *ideal* i tworzyć posąg podług tego idealnego, wymarzonego wzoru, a nie podług natury, która jest zawsze niedoskonałą.

Posągi greckie odznaczają się taką pięknnością kształtów, że im artyści nowożytni nie mogą pod tym względem dorównać. Wiemy tymczasem, że starożytni Grecy, jakkolwiek kształtni i piękni, nie wyglądali jednak tak, jak te marmurowe postaci bogów i bogiń; przechowały się bowiem wierne wizerunki żyjących wówczas ludzi, a te znacznie się różnią od owych cudnych posągów, wyobrażających bóstwa.

Artysta Grek miał ustawicznie przed oczyma wzory do swoich utworów. Ciepły klimat pozwalał tam ludziom ubierać się bardzo lekko, dla uniknięcia gorąca, strój składał się z obszernych szat, układających się w ozdobne fałdy. Młodzież zazwyczaj nago występowała do ćwiczeń gimnastycznych, do igrzysk rozmaitych, a w tych zapasach wyrabiała się i zręczność. Poczucie takiego powierzchownego piękna było silnie rozwinięte u Greków; u nich atleci nie tylko siłą się odznaczać musieli, ale i wdziękiem każdego poruszenia. Tam więc rzeźbiarz nie potrzebował szukać modelów, ani ustawiać ich sztucznie i umiejętnie w swojej pracowni, bo on je na każdym kroku spotykał z łatwością i mógł im się dowoli napałtrzyć.

Nie należy sobie jednak wyobrażać, że artyści w czasach terażniejszych powinni we wszystkiém naśladować te piękne greckie wzory, ażeby znakomite dzieła tworzyć. My już dziś mamy odmienne wyobrażenie o doskonałości i o ideale. Greków zadawalała zupełnie piękność kształtów, wdzięk, odpowiednie proporcje, jednem słowem powierzchowne zalety, które działają tylko na zmysł wzroku. Artyści chrześcijańscy, tworząc postaci Chrystusa, Matki Boskiej, świętych pańskich, wznioślejsze mają cele; oni usiłują nadać im wyraz nadziemskiej doskonałości, uwydatnić piękność ducha, dbają też o to więcej nawet, aniżeli o wdzięk ciała. W najpiękniejszych dziełach dawnych chrześcijańskich mistrzów często kształty całej postaci wykonane są pobieźnie, prawie nie dbale, ale za to w twarzy uderza wyraz prawdziwie niebiańskiej piękności.

A teraz potraficie już zapewne zrozumieć, na czém głównie polegały sławne po wszystkie czasy zalety greckiej sztuki, a także, czego jej brakło, według naszych pojęć i potrzeb naszej chrześcijańskiej cywilizacji. Sprobujemy więc dać wam niejaki wyobrażenie o tych dziełach wspaniałych, które znamy w części z dokładnych opisów, a w części z odnalezionych zabytków.

Niepodobna oznaczyć ściśle czasu, kiedy zaczęły się rozpowszechniać w Grecyi posągi z kamienia, marmuru i spiżu, nie wcześniej jednak, jak w VI wieku przed Narodzeniem Chrystusa. Jak wiecie zapewne z historii, naród Hellenów, czyli Greków, składał się z licznych plemion, ale największe znaczenie w rozwoju nauk i sztuk miały plemiona Doryczyków i Jończyków. Pamiętacie zapewne z dziejów architektury, że odróżniano porządek dorycki od jońskiego. W rzeźbie była także osobna szkoła dorycka, odznaczająca się głównie prostotą i siłą, i jońska, w której przeważał wdzięk, kształty wysmukłe i lekkie.

Rzeźba zaczęła zapewne jednocześnie rozwijać się w osadach jońskich i doryckich. Podania przechowały imiona bardzo starożytnych mistrzów na jońskich wyspach Samos i Chio. U Doryjczyków słynęła zrów szkoła rzeźbiarzy na wyspie Eginie, która przez czas długi współzawodniczyła z Atenami. Sparta gardziła wszelkim zbytkiem i miękością, lecz sztuki piękne ceniła wysoko; rzeźba doszła tam do wielkiej doskonałości; na nieszczęście wszystkie posągi, zdobiące świątynie spartańskie, z opisów nam tylko są znane, nie pozostało z nich najmniejszego śladu. Sycyona i Argos chlubiły się także znakomitymi rzeźbiarzami.

Nigdzie jednak sztuka grecka nie dosięgła takiego szczytu doskonałości, jak w Atenach. W historii architektury staraliśmy się wam dać niejaki wyobrażenie o tém wspaniałem mieście marmurowém, gdzie wśród gajów oliwnych wznosiły się szeregi białych kolumn i przepysznych posągów. Pomimo wielu klęsk i straszego zniszczenia, mnóstwo tych szacownych zabytków przechowało się aż do dni naszych, stanowiąc najpiękniejszą ozdobę różnych muzeów w europejskich stolicach.

Mieszkańcy Aten byli Jończykami, ale genialni ich artyści potrafili połączyć i zlać w jedną zgodną całość wszystkie piękności sztuki doryckiej i jońskiej. W budowlach ateńskich używany był zarówno dorycki, jak i joński porządek, a w posągach prostota i siła szkoły doryckiej dopełniona była wdziękiem i lekkością jońskiej.

Wyliczymy tu najpierw różne rodzaje rzeźb rozpowszechnionych w Grecyi. Najpierw rzeźby mniej lub więcej wypukłe, wykonywane na jednostajnej płaszczyźnie, stanowiącej tło, naprzykład na frontonach i fryzach gmachów. Były to jakby obrazy, przedstawiające bitwy, uroczystości, historyczne lub mitologiczne sceny. Potém popiersia, biusty, czy to bóstw, czy też różnych znakomitych ludzi. Nakoniec posągi całych postaci, pojedyncze, lub grupy z kilku osób złożone.

Najważniejsze znaczenie miały wyobrażenia bóstw, były to prawdziwe dzieła sztuki, których wzory idealne tworzył artysta w swojej duszy. Przypatrując się różnym postaciom ludzkim rzeczywistym, wybierał z każdej kształty najpiękniejsze, pomijając mniej doskonałe, potém te wszystkie zalety łączył w jednej postaci, która już nie była wizerunkiem pojedynczej jakiegóś osoby, ale ogólnym urojonym obrazem piękności, rozproszonych w wielu postaciach rzeczywistych.

Każde bóstwo greckie miało, oprócz stroju właściwego i różnych przedmiotów dodatkowych, atrybutów, odrębną fizygnomią, tak zwany typ, po którym ją łatwo było rozpoznać. Była to jakby nić przewodnia, która dopomagała artyście do

wytworzenia odpowiedniej postaci, i nadania jej wyrazu zgodnego z pojęciem, jakie do niej przywiązywał cały naród; to jednak nie krępowało wcale jego natchnienia i osobistych pomysłów, jak owe drobiazgowo prawidła i nakazane wzory dawnej sztuki hieratycznej.

Jowisz naprzykład musiał być zawsze przedstawiony w postaci okazałego męża w sile wieku, z obfitym zarostem, miał przy sobie orła, w rękach trzymał berło i błyskawice. Apollo, bożek słońca, był pięknym młodzieńcem, o jasnym, pogodnym obliczu. Minerwa, bogini mądrości, miała twarz pełną powagi, długie faldziste szaty, hełm na głowie a czasem włócznię i tarczę w ręku. Wszystkie inne bóstwa musiały mieć także powierzchowność stosowną do swoich przymiotów i zajęć, jakie im wyznaczano w Olimpie.

Łatwo pojąć, że żaden rzeźbiarz nie mógł odstępować od tych wzorów ogólnych, ażeby nie wpaść w śmieszność i fałsz. Gromowładny Jowisz nie powinien był wyglądać jak starzec bezsilny lub niedorostek, Minerwa dziwnieby się wydawała z wesołym uśmiechem, a Apollo, ponury i zasmucony, nie byłby stosownym przedstawicielem jasnego słońca. Homer, wielki poeta starożytnej Grecyi, opisał bardzo dokładnie powierzchowność wszystkich bóstw olimpijskich w swoich epejach, Iliadzie i Odyssei, a rzeźbiarze poszli za temi wskazówkami.

Grecy używali różnych materyałów do swoich rzeźb; najbogatsze wyobrażenia bóstw robione były z kości słoniowej i złota, te musiały być ukryte w głębi przybytków, gdyż niszczyłyby się na upale i wilgoci. Największa liczba posągów wykuta była z marmuru, a ogromne, kolosalne figury, odlowano ze spiżu. Bywały jednak i małe posąжки metalowe. Zależało to głównie od okolicy, nie wszędzie bowiem rzeźbiarze mieli pod ręką piękne marmury.

(D. c. n.).

P A M I Ę T A J !

przez M..a.

Jak pamięcią zasięgnąć zdołam, bawiłem się z matką w dwóch ładnych małych pokoikach, o białych frankach, pachnących kwiatkach i wiecznie od świtu do zmroku śpiewających kanarkach. W maleńkiej kuchence, poprzedzającą te pokoiki, gospodarowała niemłoda ale żwawa nasza Jatowa której imię tak sobie z Walentowej skróciłem. Za moim przykładem i matka nazywała ją Watową i ciotka, i ona sama siebie.

Każdy dzień nasz podobny był do wczorajszego

go, każda godzina do takiejże samėj jutrzejszėj. Było mi doskonale, a nigdy mi do myśli nie przyszło, żeby inaczej na świecie być mogło.

Co się na raz jednak stało? Jakie zaszły okoliczności, tego ja doprawdy nie umiem powiedzieć dokładnie, gdyż bardzo mały wówczas jeszcze byłem, dość, że to spokojne zegarkowe życie nasze nagle zburzone zostało. Wiem tylko, że rzecz szła o nasz mały mająteczek. Mieszkanie się odnajęło; sprzęty jedne sprzedano, inne Watowa zabrała na wóz i do dziadzi na wieś powiozła. Matka, zostawiwszy mię u ciotki, wyjechała sama do stolicy w pilnych sprawach jakichś, mimo zimy. Po załatwieniu tych spraw, miała wrócić po mnie i mnie zabrawszy, jechać także do dziadzi na resztę życia.

Dla takich powodów i takim sposobem, dostałem się niespodzianie do domu ciotki, gdzie wszystko było dla mnie tak dziwne, inne i niepojęte, jakbym tam wprost z księżycy spadał.

Więc najprzód po rozstaniu z matką, zalany łzami, pogrążony w głębiach pierwszego w życiu zmartwienia, siedziałem na niskiej sofie, otulony szalami, obstawiony poduszkami, w małym saloniku ciotki. Był to wieczór zimowy, świeca paliła się na stole, ja siedziałem w cieniu, ciotka, uspakajająca dotąd moje rozpacze, odbiegła mię, zostawiając samego. Bo ciotka miała duże gospodarstwo, choć była bezdzietna. Wuj był profesorem i trzymał uczniów na stancyi. Ja tych uczniów bardzo mało dotąd widywałem, bo też gdy teraz kilku ich wpadło nagle do sąsiedniego pokoju, zająłem się nimi tak, że aż płakać przestałem.

Drzwi od tego pokoju były wprost mnie jak szeroko otwarte, paliły się tam dwie świece, widziałem więc wszystko dokładnie. Uczniowie wpadli z łomotem, tupiąc nogami, rozrzucając książki powiązane paskami, ciskając czapki i płaszcze, jak co gdzie padło, na stół, pod stół, na łóżko, pod łóżko i na kołek nawet, ale to przypadkiem tylko. A wszyscy wołali:

— Brr! zimno zimno!

Z czego wszystkiego zrobił się taki hałas, jakiego nigdy u nas nie bywało w życiu. Otworzyłem oczy szeroko i patrzałem na nowe dla mnie rzeczy. W pokoju uczniów kotłowało się jeszcze przez czas jakiś tak, jak zawieja w Marcu, albo woda mocno gotująca się w garnku, aż raptem wszystko to wypadło, tłocząc się do następnego jeszcze pokoju w głąb mieszkania, a pokój uczniów został pusty, ale nie na długo. Przez chwilę tylko słyszałem gwałtowny brzęk łyżek i talerzy i znowu drzwi w głębi otworzyły się i uczniowie weszli i do stolików, do książek zasiadać poczęli. Ale ta rzecz robiła się już bez pośpiechu. Nagle jeden

uczeń, który siadłszy już pisać się zabierał, zerwał się znowu, tupiąc:

— E, szkaradnie mi nogi zmarzły, trzeba buty zmienić. Tomek! héj! a chodź no! — zawołał donośnie, rzucając się jak długi na łóżko. Ale wołał drugi i trzeci raz, coraz głośniej, gdy inni tymczasem gwizdali i przyśpiewywali sobie, zanim wsunął się z jadalni mały, pękaty chłopak, posługujący u profesora.

— Tomek, ściągaj buty! — rzekł leżący uczeń. Tomek natychmiast siadł tam gdzie stał, na środku pokoju i posłusznie zaczął sobie buty ściągać... Parsknęliśmy śmiechem i uczniowie i ja, bo wszyscyśmy zrozumieli, że Tomek tylko figluje, wyczywszy się figlarstwa od swoich panów.

— Mnie ściągaj buty, nie sobie! — krzyknął uczeń i nogę z butem ku Tomkowi wyciągnął. Tomek przystąpił, chwycił za piętę i ciągnie, ciągnie ze wszystkich sił, opierając się aż nogami własnymi o podłogę, ciągnie, aż się uczeń rękoma za łóżko chwycił, by z niego nie być ściągniętym, a but jak mur! nie chce z nogi zleźć. Bardzo naturalnie, bo uczeń trzymał stopę prosto, tak, jakby stał nią całą na ziemi, aż nagle w chwili, gdy Tomek najmocniej but ciągnął, uczeń wyciągnął stopę jakby się wspinał na palce: i Tomek z butem w rękach padł na wznak na ziemię.

Uczniowie rozśmiali się w głos, i ja też, chociaż trochę mię to zdziwiło, bo wiedziałem, że się z niczyjego upadku śmiać nie należy, i że każdy upadek szkodliwym być może. Ale że i Tomek się śmiał, więc i ja śmiałem się także, bo go widać nie bolało.

— A tam co? — spytał drugi uczeń, siedzący nad książką, śmiech mój dosłyszawszy; wstał, i przyszedłszy do mnie przypatrywać mi się zaczął, wołając:

— Patrzcie no, co to tu jest!... co to sobie pani profesorowa z targu z za Żelaznej Bramy przyniosła...

— Nie z za Żelaznej Bramy! nie z targu! tylko z Chłodnej ulicy, od mamy; z mamą pojechaliśmy dorożką do kolei, mama pojechała koleją, a my tu przyjechali! — tłómaczyłem.

Oni obstąpili mię wszyscy i przyglądali mi się, a że znów zaczynałem płakać, wspomniawszy o matce, więc jeden duży wziął mię na ręce, zaniósł na swój stół, posadził na nim troskliwie pod ścianą, żebym spaść nie mógł i powiedział:

— Siedz tu! ja tu przy tobie pisać będę, inni pisać będą przy innych stołach, a ty uważaj i porządku pilnuj: jakby tylko który gawędzić zaczął, wołaj: Sza!

I znowu zabrali się uczniowie do nauki. A jeden, wzięwszy książkę do ręki, zaczął patrzeć

w nią, po pokoju naokoło środkowego stołu chodzić i głośno coś prędko mówić.

— Sza! sza! sza! — krzyczę ja na niego.

— Ty sam sza! ja się uczę! — krzyknął tamten i tupnął nogą.

— Wy oba sza! bo ja sam nie wiem co piszę — wrzasnął drugi.

— Sza! sza! sza! — zaczęli krzyzczeć wszyscy i zrobił się hałas straszliwy. Więc wszyscy śmiać się zaczęli i ja też. A wtém zbliżył się do mnie jeden, widać chory, bo był w szlafroku, u którego rozpruł się rękaw i wata wyjrzała. Trzeba wiedzieć, że miałem, ani wiem czemu, pewien wrodzony wstręt do niektórych przedmiotów miękkich w dotknięciu; psa głaskałem chętnie, ale kota nie lubiłem dotknąć, ani łabędziego puszku matczyngo ani waty, ani pajęczyny zwłaszcza. Więc i teraz, zobaczywszy rozpruty rękaw studenta, cofnąłem się ze wstrętem, mówiąc, jakbym się bał:

— O! jata!... jata!... — bo litery *w* nie wymawiałem jeszcze.

— Co on waty się boi? a to co? Chłopak? Taki chwata chłopak? bać się waty? Ba, to pewno siostrzeniec pani profesorowej, kobiety go wychowały, to mazgaj z niego będzie — wołali uczniowie.

— Nie będę mazgaj! nie będę! — krzyczałem bijąc o stół piętami.

— A beczałeś dopiero co? A waty się boisz? A w trzewikach chodzisz?

— Nie będę beczał! nie będę się bał, nie będę w trzewikach chodził!

— Lutek! gdzie jest Lutek! gdzie się dziecko z sofy podziało? — dał się słyszeć przestraszony głos ciotki z drugiego pokoju.

— My jego tu pilnujemy, proszę pani profesorowej, my jego uczymy, żeby mazgajem nie był — odpowiedzieli uczniowie.

Ciotka przyszła i zabierać mnie chciała, mówiąc:

— Dziękuję wam, moje kochane dzieci, ale bez waszego uczenia my się oboje obędziemy.

Chciała mię zabrać, ale że mnie się tam bardzo podobało, więc prosić zacząłem, żeby mię zostawiła i uczniowie prosili za mną, zaręczając, że im nie przeszkadzam. A że ciotka troszczyła się o to, bym za matką nie tęsknił, więc rada z mojej rozrywki pozwoliła mi u nich zostać przez cały wieczór, zaglądając tylko do nas często. Ale ja przylgnąłem do moich nowych przyjaciół tak bardzo, i oni do mnie, że postanowiliśmy się wcale nie rozłączać, ani na noc, choć wiedziałem, że łóżeczko czeka już na mnie w ciotki pokoju, i służąca przysłała po mnie:

— Co tam łóżko, poduszki, pierzyny, to dla kobiet i mazgajów takie delikatesy, ja, widzisz o!

umyślnie poduszki oddaję temu małemu choremu, a sam rzucę się o materac, jeden but pod głowę, drugim się nakryję, i już! — mówił jeden.

— Chodź chłopcze, pożyczę ci po koleżeńsku mojej czapki na noc; kiedy mieszkała w niej kotka z siedmiorgiem kociąt, to i ty zmieścisz się w niej i prześpisz wygodnie, jak w łóżku — tak mówił drugi z dużą głową i czupryną na niej, jak kopa siana. A trzeci rzecze do mnie:

— Kolego! ej kolego! nie wdawaj ty się z kobietami, słuchaj mnie, bo ja ci z doświadczenia radzę; zerwij z ciotką i z tą Kasią, co tu czeka na ciebie, bo cię rozpieszczą i babę z ciebie zrobią. Zerwij z niemi, a trzymaj się nas!

Na te koleżeńskie narady przyszła ciotka, złała uczniów za to, że mię bałamuca i nieposłuszeństwa uczą i wprowadziła mię uskromionego bardzo owém łajaniem, moim kolegom daném; a już już myślałem właśnie uprzeć się, i pozostać u nich, zrywając stanowczo z kobietami. W łóżku podłożyłem sobie jeden trzewik pod głowę, drugi położyłem na kołderce, ale ten w nocy spadł.

Ciotka nazajutrz stanowczo zapowiedziała, że sypiać będę zawsze u niej, a odwiedzać uczniowski pokój pozwoli mi tylko wtedy, gdy będę grzeczny. Że zaś pomimo całej tej surowości chodziło jęj o to bardzo, abym ja nie czuł się nieszczęśliwym, i ponieważ ja grzeczny bywałem, a ona przy swoim gospodarstwie nie mogła ciągle się mną zajmować, przeto stanęło na tém, że jadałem i sypiałem u ciotki, ale kolegów, jak się sami nazywali, odwiedzałem bardzo często i zapatrując się na nich, powoli nabierałem ich narowów, starając się naśladować to, co mi się wydało najwyższą doskonałością, uważałem ich bowiem za pierwowzory porządnych mężczyzn jakimi, się sami być mienili.

Gdy się do ciotki dostałem, byłem dzieckiem karném i dobrze wychowaném. U ciotki nikt się szczegółowo mną nie zajmował, bo ciotce niepodobna było się przecież rozerwać wśród nadmiaru zatrudnień; a w miesiąc matka wróciła z Watową, byłem już wtedy wzorem prawdziwie źle wychowanego chłopca.

Zobaczywszy matkę tak się ucieszyłem, że mi nie stało serca na zmartwienie przy pożegnaniu z kolegami. Uściskałem wszystkich, zaczynając od ciotki, wuja i uczniów, a kończąc na Kasi i Azorze, i pojechałem z matką do jęj nowego mieszkania, składającego się z jednego pokoju, gdzieśmy we troje z Jatową jeszcze przez całe dwa tygodnie pozostawać musieli dla interesów. Obiad przynosiła Jatowa z garkuchni.

Wracając od ciotki w dorożce, siedziałem cały czas na matczynych kolanach, a ona pieściła mię, bo to po raz pierwszy w życiu nie widziała mię

przez miesiąc. Gdyśmy weszli do naszego mieszkania, Jatowa paliła w piecu i nastawiała samowar, potem we dwie poiły mię i karmiły, potem posłały mi łóżeczko, a ja jeszcze nie przyszedłem do siebie z wielkiej mojej radości.

Ta radość i odmiana mieszkania, i wszystkie te zmiany witania i żegnania, zmęczyły mię nareszcie tak, że wśród pieszczot i wieczery nagle przechodząc koło posłanego dla mnie łóżeczka, rzuciłem się jakoś na nie, i zasnąłem niechcący. Wkrótce poczułem pocałunki matki, która rozbiierając mię rozspanego, kazała mi klękać do pacierza. Ale ja rozbałamucony u ciotki, gdzie mię tylko pieszczono i bawiono, ale nie miano czasu zająć się mną naprawdę, odwykłem już od porządnego codziennego rano i wieczór pacierza. Więc zacząłem przewracać się po łóżku, dąsać i beczyc nareszcie, gdy matka koniecznie owego pacierza żądała. Zrobiła się straszna scena! W ów dzień szczęśliwy z razu, przyszło podobno do bardzo przykrych okoliczności w końcu; musiałem pacierz głośno jak dawniej odmówić, a matkę po raz pierwszy w życiu ujrzałem surową naprawdę.

Położyłem się do łóżka spłakany i przekonany, że matka jest niesprawiedliwą, bo zdawało mi się, że kiedy ja przez miesiąc mogłem obchodzić się bez pacierza, i kiedy nie widziałem, żeby uczniowie się głośno modlili, to się modlić nie trzeba. Naza jutrz nie sprzeczałem się już o pacierz, bo wiedziałem, że to próżnoby było; ale gdy przyszło do czesania, a zwłaszcza do mycia zimną wodą, zrobiła się znów okropność; płakałem jak małe dziecko, bo woda istotnie bardzo była zimna. Znów matka mi się niesprawiedliwą i okrutną wydała, gdy musiałem myć się tak, jak do tego od dziecka byłem przyzwyczajony, a czego u uczniów nie widziałem, bo oni myli się łaďa jak, nieledwie nos tylko w wodzie maczając i także wołali, że zimna i wiecznie się do klasy śpieszyli.

(D. n.).

Z pośmiertnych rękopismów

GABRYELI PUZYNNINY,

OBRAZEK.

Maj! ranek — słowiki śpiewają już nie pojedynczo, ale chóralnie i na wyścigi w gęstwinie bzów zakwitłych i rosnących nad urwiskiem brzegów samej Wilii, w ogródku Tivoli, przy kościele Ś-go Piotra, a na ganku głównego domku, w tēm gnieździe, oddychając młodością i życiem, siedzi

w krześle starzec z opuszczoną na piersi głową. Obumarłość jego członków, sparaliżowanych od dwóch lat, postępuje coraz wyżej, i zaczyna obejmować władze umysłowe już odrętwiałe, już osłabione. Chory w połowie tylko należy do ziemi, w śpiewie ptasząt musi już słyszeć czy przeczuwać śpiewy anielskie... bo wietrzyk, muskając nieostrożnie jego włos bielutki i spadający na czoło, i oczy wpół zamglone, ani go draźni, ani bawi. — On go nie czuje!

Przy starcu kobieta, zapewne jego córka, siedzi wsparta o stolik mały, i czyta. Od stronicy do stronicy podnosi oczy na chorego, popatrzy smutnie, i znowu czyta — raz popatrzyła dłużej, i myśl zabłysła jej nowa... Zaczęła czytać głośno, powoli; chory głowę podniósł, uśmiech przebiegł po ustach bladych, i łza ukazała się w oku. On słuchał, on uważał, to go zajmowało! Czytanie było poezją, opisem wsi i obyczajów naszych — a to z miłością, z prawdą, prostotą, i z ciągłą myślą o Bogu. Córka, zachęcona ożywieniem ojca, czyta dalej, czyta do samego końca. Na lica chorego wystąpił rumieniec, dziękuje córce... O! szczęśliwy poeta, którego słowa mogły ten cud zdziałać. Jest nim *Syrokomla*, a dziełem „*Dęboróg*”.

Podobać się młodym, zabawiać wesołych, każdy autor potrafi; ale łąć wywołać z oka, które już obojętnie na świat pogląda, ale zająć umysł, który już martwić dla świata zaczyna, ale obudzić uśmiech na ustach tego, dla którego już nawet wiosny uśmiechy były bez wdzięku, to zdziałać tylko może poeta serca i prawdy. I takim był *Władysław Syrokomla* (Ludwik Kondratowicz), śpiewający nam już od 1845 roku. Prawdziwy słowik litewskich lasów, nie uczony a natchniony, biedny, a nie pragnący nic więcej za swoje pieśni nad to, aby je wszyscy tak czytali, jak on tworzył, sercem. — On stronił od ludzi, a ludzie go szukali. — On oddawał swe pisma za nic, a co miał rozdawał jeszcze biedniejszym od siebie. Czysty, nie zmazany niczēm jako wieszcz, nie pochlebiał, nie starał się o nic, kochał, marzył, i śpiewał.. śiał swe piosenki, jak ptaszek gubi swe pióra, nie przywiązując do nich wagi, bo wie, że nowe będą...

Pism jego wyliczać nie mamy potrzeby, znają je wszyscy, odczytują i powtarzają na pamięć; one należą do naszego życia, one wymodliły u Boga nie jedną pomyślną zmianę w wyobrażeniach towarzyskich, one śpiewając walczyły i pokonywały. A ten, co za ich pomocą zwyciężał, choć przedwcześnie, jako człowiek, zniknął z pośród nas, miał prawo umierać, jako poeta, bo założenie jego się dopełniło, bo szlachta ludowi podała rękę, bo, jak powiada w „*Ułasie*”:

...Że w chwili rozrzewnienia, z braterskim wyrazem,
Łza chłopska i szlachecka spłynęły się razem,
A w tój łzie, (o czém szlachta wątpiła od wieka),
Był tylko jeden wspólny pierwiastek człowieka!

Daj Boże nam wszystkim tak umierać po dokonaniem dzieła.

W 5-ym Nrze naszego Pisma podaliśmy wam, młodzi czytelnicy, wizerunek i życiorys Gabryeli Puzyniny; teraz szczęśliwym trafem wpadł nam w ręce rękopis autorki nigdzie niedrukowany, z którego krótki ustęp przytoczyliśmy powyżej.

Ów poemat Syrokomli, *Urodzony Jan Dęboróg* o którym w obrazku swoim wspomina autorka, jest jednym z najpiękniejszych utworów tego poety; wybierzemy tu z niego kilka ustępów. A najpierw prześlizgnij:

PRZEDŚPIEWEK

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokażne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak, jak u Auzonów *), i Helwetów **) słyszę,
Gdzie pola, jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy,
Takie cudne co chwila stawią krajobrazy,
Takie rzeki, kaskady i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują, i na dziw rozwożą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwytą...
Ty nie dojdiesz tój sławy, Litwo rodowita!
Twoja ziemia pępna, twa ziemia bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku;
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórzach jałowiec, po lasach sośnina,
Z nieociosanych bierwion klecone twe domy
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.

A jednak, do twój treści zajrzawszy głęboko,
Litwo! tyś więcej warta, niż zda się na oko:
Pieszczota oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;
Siermiężny syn twych wiosek po to ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknej Europie;
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twém żytem,
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytem.

* * *

Posłuchajcie teraz, jak Jan Dęboróg opowiada dzieje swojej młodości, gdy był na nauce u wiejskiego plebana, dawnego księdza definitora.

Niekiedy w nocy, gdy Maj się pocznie,
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,

*) Starożytne plemię włoskie. **) Szwajcarowie.

Z wiejskimi chłopcy, z tabunem koni,
Lecim na nocleg, śpiewając skocznie.

Aż za wioskę, aż za zboże,
Na wygonie lub ugorze,

Konie w paszę z rąk —
I już chłopcy w jednej chwili
Stosy chróstu nanosili

I zasiedli w krąg.
I ziemniaki w żarze pieką —
Płomień bucha — ej daleko
Widać ogień nasz!

Co tam śmiechu, co tam wrzasku!
Ktoś upiorem straszy z lasu —
Człowiek ani dbasz.

Choć kto w dzień się namozoli,
Choć drugiego serce boli,
To najmniejsza rzecz.

Bo gdy ludno, pusto, gwarnie,
Smutek duszy nie ogarnie.

Wszelka bojaźń precz.

Na rosnęj trawie rozściełamy suknie,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,
I chór: „Dobranoc o Jezu“! jak huknie,
To aż się echo w olszniaku zatrząsie.

I daleko po równinie
Świętęj pieśni echo płynie.
Czasem słowik chór nam poda,
W sercu rzewność tak głęboka,
Ani ujrzysz, gdy ci z oka
Łzy poleją się, jak woda.

Człowiek rzeźwiejszy po świętęj pieśni
Do nowych śmiechów, do pogadanek,
We wsi już kury pieją poranek,
A o spoczynku żaden z nas nie śni.
Bo jakże usnąć w majowe noce?
Tu konie zarzą, tu ogień błysnie,
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szczebiocę.

Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci — a gromada
Pieśni, skazki *) opowiada,
Skazek, pieśni, bacznie słucha.
Miłoś w kółko sieć na ziemię!
Gwarzyć w ptactwa słodkiej wrzawie!
Jeden, drugi, niby zdrzemie —
Miłoś drzemać na murawie!
Ptactwo milknie po kolei,
Ogień zwolna gasnąć zacznie,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale bacznie!
Každy słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,

*) Bajki.

Brzęknie trzęzłą, wstrząśnie grzywą,
Albo zarzy na uboczy.

Po chwilce drzemki oko się przetrze,
Blizko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki;
I koń już częściej stuka w kopyta,
Zroszoną trawę pośpieszniej chwytą.
Cyt, już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dzionkiem;
My za słowikiem i za skowronkiem
Nucim: „Zawitaj ranna Jutrzenko“!

Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżycy,
Ot i zorza, jak dziewica,
Miłą barwą rumienieje;
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania;
Ranny ptaszek, dziad kościelny,
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie dzwon daleki
W mgłach porannych się rozplywa!
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa!

Słońce ognistym błysło promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem,
A niebo w złocie, w różach, w błękicie,
Ziemia w zieloność strojna wesołą,
A człowiek wtedy patrzy w około,
Stałby jak wryty przez całe życie.
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Aniby sobie przypomniał kiedy,
Ze gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy;
Ze on nic więcej — zlepek gliniany.

Héj! do domu czas już pewnie;
Konie syte nocną paszą —
My weseli, hukniem śpiewnie
I porzucim łakę naszą.
I wtorując trąbką z rogu,
Na wyścigi, héj przez rowy! —
Ot i nocleg nasz majowy;
Śpieszmy oddać chwałę Bogu!

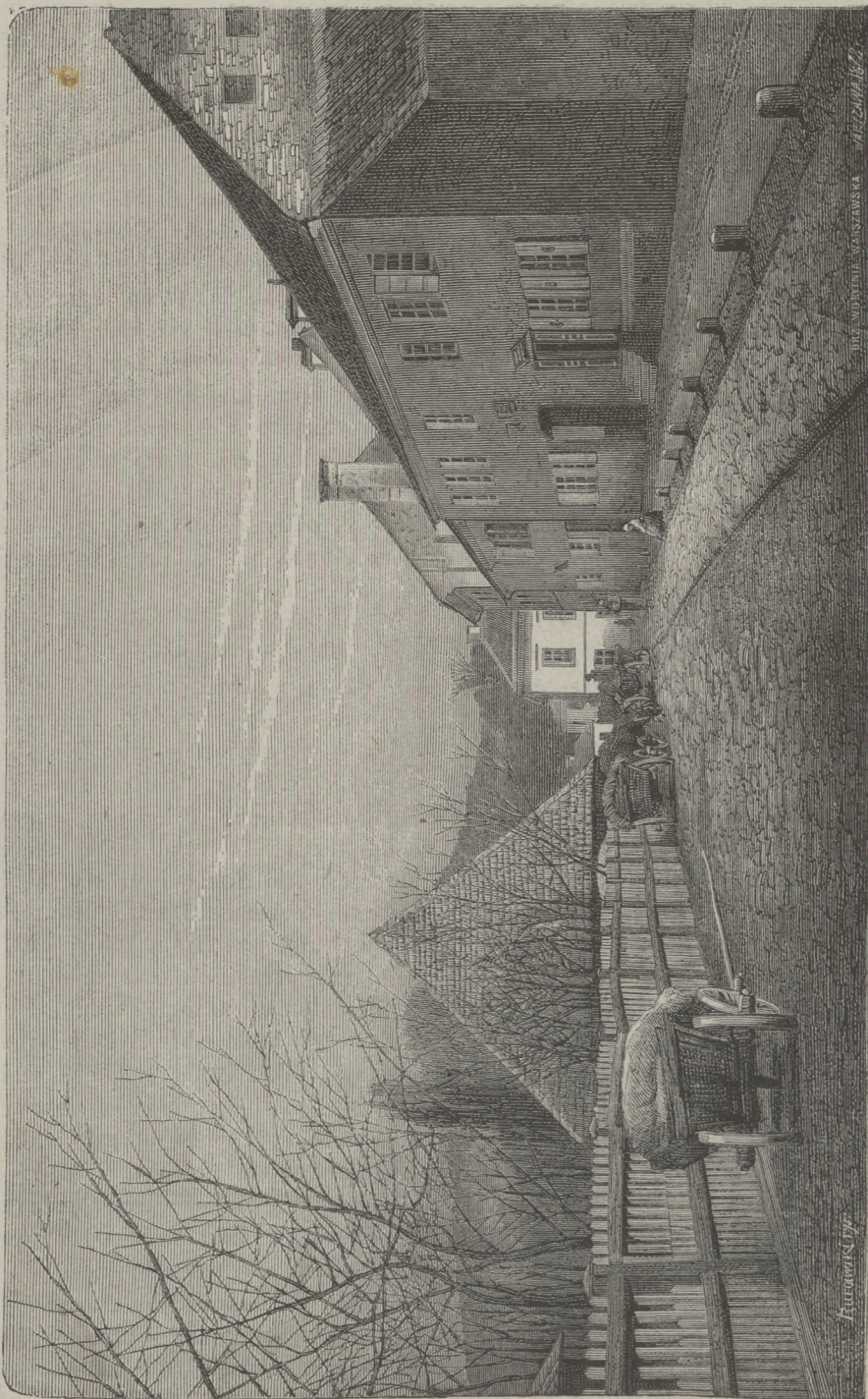
* * *

A kiedy święto, lub deszcz z pola spędza,
Chłopcy się tłoczym ile chata zmieści,
I ciasnem kółkiem otaczamy księdza,
By nam gawędził odwieczne powieści.
A jego pamięć uczona, bogata,
Odśłania dzieje biblijne, najstarsze,
Kreśli nam potop lub stworzenie świata,
Albo szczęśliwe wieki patryarsze.
Jesteśmy zda się w rozmarzeniu złotém,
Pod Abrahama pasterskim namiotem,
Płaczem z Józefem, gdy się więźniem czyni,

Błądzim z Mojżeszem w arabskiej pustyni.
Dopieroż słuchaj, kiedy głos podnasza,
Gdy stare piersi zapałem odżyją,
Głosząc z proroków przyjście Messyasza!
Aż się radujem z anioły, z Maryą,
Tężymy słuch nasz, jak zgłodniała rzesza,
Gdy tysiącami za Chrystem pośpiesza.
My w wieczerniku, my z Panem w ogrodzie,
Z Matką pod krzyżem nasza dusza gości —
W świętej boleści, co nam duszę bodzie,
Uczym się ducha niebieskiej miłości.
Tak nas ów obraz do niebios przybliży,
Człekby się chętnie dał przybić do krzyża!...
Niekiedy starzec, na dłoni oparty,
Rzekłbyś Herodot wśród pokoleń nowych,
Kreśli nam dzieje Atenów lub Sparty,
Czasów Likurga lub Peryklesowych.
Gdy kreśli przeszłość to w takim kolorze,
Ze ci się żywa przed oczyma wyda,
Ze tylko westchniesz: „O zeszlj mi, Boże!
Życie Solona, albo Arystyda“!
Ileż to razy w długą noc zimową
Słyszane dzieje stawały mi we śnie!
Upiór przeszłości latał nad mą głową,
Było mi błogo, a czasem boleśnie.
Strach! gdy się głowa, gdy serce rozmarzy!
We krwi gorącej wre jakby w ukropie.
To śnię zborzysko italskich zbrodniarzy,
Jak wieczne Rzymu fundamenta kopie;
To zda się widzę, że krok ku mnie czyni
Pobożny Numa lub hardy Tarkwini;
Lub się w kościele Jowiszowym baczę,
Rzym jeszcze nie jest zepsutym słuźalcem,
W krzesłach senatu zasiedli brodacze,
Cycero zdrajców ukazuje palcem:
Drży Katylina... a tam złoto ważą,
I leżą trupy, pływają krwi fale,
Na rzymskiem forum Galle gospodarzą,
Kwiryci złoto niosą im na szalę,
A na tém złocie, arcydziełem dłuta,
Twarz Rzymskich bogów i przodków wykuta.
Wtém szczęk żelaza, otwarły się wrota,
Nowa kohorta Rzymian się przeciska,
Kamillus wpada i szalę gruchota,
I dzikich Gallów spędza z targowiska;
Słysząc jak giną, jak pierzchają dzicy,
Słysząc szczęk mieczów po stalnej zbroicy.
A owo widzę, jakby wiejska chata,
I widzę starca, co orze zdaleka,
Idę — poznaję Kwinta Cyncynata,
Przy nim miecz we krwi i konewka mleka.
Póki się woły popasły pod lasem,
On wrogów Rzymu zwyciężył tymczasem.
Precz rzucił pancerz, znowu wziął opończę,
Śmieje się stary w wesołej gawędzie:

„Ot jeszcze dzisiaj zagonu dokończę,
Posieję żyto — i niezgorsze będzie“.
Rzymski szlachcicu, dopomóż ci Boże!
Tak sobie myślę i znowu śpię smaczno.
Wtém nowe mary na młodzieńcze łożę,

Rękę przez Niemen podaje Jagielle.
Słysząc organy i mężowie w bieli
Z piękném rycerstwem bratnio się objęli —
Wtém nowe widmo: wśród blasku oręży
Siedzą poważni państwa dostojnicy,



Dom w Wilnie, w którym zakończył życie Syrokomla.

W innych postaciach nalatywać zaczną.
Wiją się hufce, i obcych braci,
Płynie krew, pole trupami się ścięło —
A wtém dziewica anielskiej postaci,

I w obrzędowej dalmatyce księżej,
W koronie, z berłem, na ojców stolicy,
Siadł Zygmunt August z postawą młodzieńczą.
Wkoło tłum ludzi, daleko, daleko;

Swoi coś gwarzą, a wrogowie klęczą,
A u stóp tronu płynie miód i mleko...

I tak kolejno myśli mojej głowy
Na tysiąc sennych widziadeł się dziela.
Wtém przeraźliwie, ach! sen mój dziejowy
Rozproszył kogut, piejąc nad pościelą.
„Czas do roboty“! poznaję głos dziada,
Co zwykł mnie budzić, gdy godzina szara;
„Książd definitor dawno już spowiada,
Czas do mszy służyć — sen mara, Bóg wiara”.

Rysunek nasz dzisiejszy przedstawia dom w Wilnie, w którym Ludwik Kondratowicz (Syromkła) życia dokonał. Inną razą podamy wam wizerunek i życiorys tego sympatycznego poety.

LISTY Z WARSZAWY.

KAZIO DO MARYNI.

Hołd pruski, nowy obraz Jana Matejki. — Muzeum pedagogiczne pana Babińskiego.

Hołd pruski przybył już do Warszawy! Czy widzieliście Hołd pruski? Takie wyrazy słyszy się ciągle od dni kilku w naszym mieście. Ale ty, siostrzyczko, tak daleko mieszkasz od Warszawy, że może i nie wiesz jeszcze, co to jest takiego ten Hołd pruski, który tak wielkie tu wzbudza zajęcie. Poczekaj, zaraz się dowiesz o wszystkim, bo ja przecież, jako korespondent i sprawozdawca, nie tylko twój, ale wszystkich czytelników naszego Pisemka, jeden z pierwszych pośpieszyłem obaczyć to nowe arcydzieło naszego wielkiego mistrza, Jana Matejki.

Otóż widzisz, Hołd pruski jest to obraz, wspinały obraz, przedstawiający uroczystą chwilę, gdy Albrecht, mistrz krzyżacki, zrzuciwszy habit zakonny i przyjąwszy wiarę protestancką, ogłosił się księciem pruskim i złożył uroczysty hołd królowi Polskiemu, Zygmuntowi I dnia 10 Kwietnia 1525 r. Książę Albrecht był siostrzeńcem Zygmunta, dla tego też zapewne król ten, który mógł go zgnieść z łatwością i Prussy do swego państwa wcielić, nie uczynił tego, lecz podał mu wspinałomyślnie rękę do zgody i pozwolił się ogłosić dziedzicznym księciem pod hołdownictwem Polski.

Ale nie do mnie należy opowiadać ci, siostrzyczko, historyczne wypadki, które pewnie dobrze pamiętasz, lepiej przystąpię zaraz do opisu obrazu. Tylko czy ja to potrafię? Stojąc tam w salonie pana Ungra i patrząc na to arcydzieło, myślałem sobie, że to będzie bardzo łatwo i bardzo

miło mówić o rzeczy tak pięknej, a teraz, jak wzięłem pióro do ręki i usiadłem przy stoliku, cisną mi się wciąż jedne wyrazy: Ach jakie to piękne, jakie wspaniałe, jakie prześliczne!

Tymczasem ty na tych wykrzyknicach żadną miarą poprzestać nie możesz, liczysz na to, że ja ci dam jakiegokolwiek wyobrażenie o obrazie, zanim go ujrzysz przynajmniej na fotografii lub w drzeworycie. A więc, jak umiem, tak opowiem.

Na rynku krakowskim stoi wspaniałe wzniesienie, karmazynowém sukniem przykryte. Dzień jest jasny, słoneczny, u góry, po prawej stronie obrazu widać cudny błękit nieba, na którym rysuje się wieżyca kościoła Panny Maryi, białe gołębie unoszą się w powietrzu. Po drugiej stronie widać fronton gmachu Sukiennic, z galeryą zapełnioną tłumem ciekawych widzów. Na wzniesieniu, na bogatém krześle, siedzi król Zygmunt I. Twarz jego poważna, majestatyczna, przypomina nieco typy rzymskich Cezarów, znane ze starożytnych medalów i biustów. Strój królewski jest nadzwyczaj okazały, długa kapa ze złotój lamy spływa w sutych fałdach aż do stóp jego, złocistą koronę ma na głowie, na kolanach trzyma księgę Ewangeli.

Przed królem, w pokornój postawie klęczy książę Albrecht, trzymając w ręku pruską chorągiew, białą z orłem czarnym, i składa uroczystą przysięgę. Cały jest w stal przybrany, jak rycerz średniowieczny, z ramion mu spływa bogaty płaszcz gronostajowy, który podtrzymuje młody paź, za księciem klęczący. Drugi paź, w takiej samej postawie, trzyma w ręku helm książęcy. Twarz Albrechta jest zimna i surowa, chociaż oczy ma spuszczone pokornie. Dwaj bracia jego, Kazimierz i Jerzy, butniejsze mają miny, obaj stoją przy sztandarze pruskim, podtrzymując go za końce, jako domniemani następcy tronu.

Tuż obok króla mały Zygmunt August, w karmazynowój aksamitnej sukience, stoi na krześle, aby mógł lepiej się przyjrzyć ciekawemu widowisku. Po lewej stronie obrazu widzimy królowę Bonę z orszakiem niewiast, pomiędzy którymi jest Jadwiga Jagiellonka, córka króla z pierwszego małżeństwa i sędziwa księżna Mazowiecka z córką Zofią i młodym synem Januszem.

U stóp wzniesienia, na którym się odbywa akt uroczysty, siedzi Stańczyk, błazen królewski, w karmazynowym swym stroju, z dzwonkami, w rękę trzyma piszczałkę. Czy pamiętasz, siostrzyczko, opisywałem ci już Stańczyka z innego obrazu Matejki. I tu także błazen widocznie nie ma ochoty się śmiać, taki zamyślony, w oczach jego wyrazistych tak głęboki smutek się maluje, jak gdyby przewidywał, że ten kornie klęczący książę pruski

knuje straszliwą zdradę, że ten orzeł czarny, powiewający na chorągwi, wśród jasnych słońca promieni, urośnie w potwornego smoka...

Wszędzie dokoła widać dostojników państwa, a każda postać wybornie wykończona, każda twarz pełna wyrazu, jakby żywa. Andrzej Tęczyński, piękny młodzieniec w białym stroju, rozwija chorągiew królewską, która się przepysznie fałduje w powietrzu, Jan Bonar, kasztelan biecki, sędziwy starzec z siwą brodą, mówi coś z ożywieniem do tłumów; wspaniale wygląda książę Konstanty Ostrogski, także już sędziwy, przy nim stoi Jan Amor Tarnowski w rycerskim hełmie, niżej znów uderza bogactwem stroju Andrzej Kościelecki, podskarbi koronny, sypie on złoto do misy; po spełnieniu uroczystości będą je dworzanie rozrzucić po drodze dla gminu.

Po prawej stronie obrazu, na samym dole, prześliczna postać rycerza, w szyszaku ze skrzydłami, na dzielnym koniu, malowniczy, fantastyczny prawie przedstawia widok. To hetman Lanckoroński, przybyły na ten świetny obchód z dalekiej Ukrainy. Na drugim krańcu obrazu, na lewo, stoją dwaj bogaci mieszczanie, jeden z nich, trzymający zwój pergaminowy, to słynny budowniczy Zygmunto夫斯基 kaplicy na Wawelu, Bartłomiej Berecci; nazwisko to wyczytałem w książeczce, zawierającej opis dokładny obrazu, tymczasem wpatrując się w twarz owego budowniczego, zdawało mi się, że ją znam doskonale. Myślę więc, przypominam... wkońcu spostrzegłem, że to portret samego Matejki i to podobniuteńki,

Ba! wiem ja dobrze, że z mego opisu nie będziesz miała jeszcze najmniejszego wyobrażenia o Hołdzie pruskim, ale przynajmniej nabierzesz może ochoty zapoznać się z tym arcydziełem, a nie mogąc do Warszawy przyjechać, sprowadzisz sobie fotografią. Czytelnicy *Wieczorów Rodziny*, zamieszkali w Warszawie, pewnie po otrzymaniu tego listu pośpieszą zaraz do salonu pana Ungra.

Dawno już, dawno, nie zachwycam się tak wspaniałym widokiem, chociaż w Warszawie widuję nieraz piękne obrazy, bo o ile mi czas pozwala, zwiedzam pilnie tutejsze wystawy, i dla własnej przyjemności, i dla twego pożytku, siostrzyczko, ażebym mógł ci opisać wszystko, co zasługuje na uwagę.

Ale teraz, po Hołdzie pruskim, niepodobna mówić o innych obrazach, bo najpiękniejsze gasną przy tym arcydziele wielkiego naszego mistrza. Ja też, co prawda, nic innego tą razą nie widziałem w całym salonie pana Ungra, gdzie jednak nie brak obrazów, bo przez cały czas od tego jednego nie mogłem oczu oderwać.

Byłbym tam siedział jeszcze dłużej, ale korzystając z dnia świątecznego, chciałem zwiedzić ciekawe bardzo muzeum pedagogiczne w zakładzie naukowym p. Babińskiego na Sewerynowie, otwarte w każdą niedzielę dla publiczności. Już wprawdzie roku zeszłego opisywałem ci tę wystawę, ale możeś ty o tym zapomniała, zresztą muszę pamiętać i o nowych prenumeratorach *Wieczorów*, którzy zeszłorocznych moich listów nie czytali.

Wyobrażam sobie, siostrzyczko, co by to za radość była dla ciebie, gdybyś mogła zwiedzić to muzeum; ty, co tak lubisz mapy geograficzne, tu znalazłabyś zbiór najosobliwszych i najpiękniejszych, jakich pewnie jeszcze nigdy w życiu nie widziałeś. Jedne naprzykład przedstawiają wszystkie strefy, od najchłodniejszej do najgorętszej, a w każdej widzisz rośliny tej strefie właściwe. Na drugich znów tak samo rozłożone są zwierzęta. Całe ściany pokryte są temi mapami, a jedne ciekawsze od drugich.

Niemniej piękne i ciekawe są atlasy zoologiczne i botaniczne; jak też to łatwo być musi, patrząc na te dokładne rysunki, zrozumieć te wszystkie szczegóły, tak trudne do spamiętania, gdy się uczymy botaniki z książek: rozpoznawanie pojedynczych części kwiatu, wschodzenie ziarna, rozwijanie się kielka i pierwszych liści, klasyfikacja rodzin roślinnych. Wszystko tam się tak jasno przedstawia w powiększonych rysunkach, że nad niczem sobie głowy łamać nie potrzeba.

A jaki tam jest śliczny zbiór wypchanych ptaków i zwierzątek drobniejszych, jakie mnóstwo minerałów. Dla młodszej dziatwy przewyborne są znów rysunki, przedstawiające różne rzemiosła i narzędzia do nich potrzebne; inne, piękniejsze jeszcze, służą do nauki historii świętej. Do nauki rysunków są wyborne gipsy, a dla starszych uczniów różne przyrządy fizyczne, butelki lejdejskie, maszyny elektryczne i bardzo wiele innych rzeczy, których wyliczyć niepodobna.

Pan Babiński wydaje także Pismo peryodyczne, bardzo pożyteczne dla rodziców i nauczycieli, bo są tam artykuły o najlepszych sposobach nauczania. Tytuł Pisma jest *Przegląd pedagogiczny*. Tę wiadomość podaję dla Mamy, może zechce sobie to Pismo zaprenumerować.

A teraz, siostrzyczko, bądź zdrowa, muszę list kończyć, żebyś go w porę odebrała.

Twój przywiązany brat.

Kazio.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Klaas i Janek donieśli starszym braciom, że Facetan pochylił się nad strusiem, ściągnął z niego skórę i wyrwał starannie piękne białe pióra ze skrzydeł i ogona, a w pół godziny nasz Buszman powrócił do obozu, niosąc szacowną zdobycz na plecach i z wyrazem tryumfu spoglądając na Zulusa, jak gdyby chciał zapytać:

— A co? czy dokazałbyś takiej sztuki, he?

XX.

Pogoń za antylopą krowią.

Myśliwi nasi postanowili spędzić jeszcze dni parę przynajmniej w tém pięknym ustroniu, w cieniu zielonych akacyj, na brzegu strumienia. Szło im głównie o to, aby przygotować sobie zapas żywności na dalszą podróż i postanowili ususzyć mięso antylopy błękitnej. Nie byli pewni, czy zawsze im się uda upolować świeżą zwierzynę, tém bardziej, że mieli się teraz zapuścić w okolicę nieznaną. Zulus nawet nigdy jeszcze nie był w tej stronie. Zmierzali teraz do rzeki Molopo, a chociaż położenie jej dokładnie jest oznaczone na mapach geograficznych i nie obawiali się zmylić drogi, nie wiedzieli jednak, czy kraj, oddzielający ich od brzegów tej rzeki, obfitował w zwierzynę; żaden z krajowców objaśnić ich w tém nie umiał, gdyż okolica ta leży poza obrębem kraju Zulusów i kraju Buszmanów. Zamieszkała jest przez ubogie plemiona ze szczepu Beszuanów.

Otóż z tego powodu Hans, najstarszy i najrozsądniejszy z całej gromadki, doradzał, aby się nie puszczać w dalszą drogę, póki mięso antylopy nie będzie przygotowane należycie, i zabezpieczone od zepsucia. Pozostały im jeszcze resztki dwóch antylop kantarowanych, mieli więc dobry zapas na wszelki wypadek, nie wiele też na to potrzebowali czasu, aby wędlinę przyrządzić na słońcu, czterdzieści ośm godzin wystarczyło aż nadto.

Zawieszono więc mięso, pokrajane w cienkie paski, na gałęziach akacyj; zrazu jaśniały te smatki piękną barwą purpurową wśród zielonych liści, ale na drugi dzień ściemniały, przybrały odcień brunatny i tak doskonale obeschły, że już nie było obawy aby się miały zepsuć w drodze.

Młodzieńcy nie potrzebowali pilnować niestannie swojej wędliny. Mięso było tak wysoko zawieszono, że hyeny i szakale dostać go nie mo-

gły, ptactwo drapieżne nie śmiało się zbliżyć wśród białego dnia do obozu, gdzie się kręcili Kongo z Facetanem. Myśliwi nasi nie tracili czasu i wybrali się wszyscy razem na polowanie, nie wąpili bowiem, że napotkają huk zwierzyny na tych pięknych pastwiskach. Skierowali się w stronę, gdzie dnia poprzedniego Henryk upolował antylopę błękitną.

Nadzieje ich ziściły się wkrótce. Zaledwie wjechali na łąkę, trawą porośłą, gdy spostrzegli pasące się na niej trojakiemu rodzaju zwierzęta. W oddaleniu, na samym krańcu widnokregu, widać było liczne stado niewielkich antylop; poznali w nich od razu, po rogach wygiętych w kształcie lutni, po sierści kasztanowatej, najpospolitsze antylopy skaczące (spring bok); nazwa ich naukowa jest *Antidorcas euchore*. Dość było spojrzeć na nie, aby zrozumieć, jak słusznie nazwę swoją otrzymały. Co chwila, to jedna, to druga podskakiwała, jakby na sprężynach, powiewając białą kitą, umieszczoną przy nasadzie ogona.

Niedaleko od antylop skaczących, pasła się w przykładnej zgodzie z niemi gromadka większych zwierząt, także łatwych bardzo do rozpoznania po odrębnej postaci. Na pierwszy rzut oka można je było wziąć za zebry, ale przypatrując się uważniej łatwo było spostrzedz wybitną różnicę. Zwierzę to zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy zebłą i kwagą, nazwa jego miejscowa jest *dauw*, przyrodnicy nazywają je zebłą lub kwagą Burchella, gdyż ten uczonego opisał je po raz pierwszy dokładnie. Dauw ma maść taką, jak koń bułany, oznaczony jest brunatnymi pręgami, czém właśnie wyróżnia się od zebry właściwej, która ma pręgi czarne na tle jasnym, prawie białym. U zebry i nogi są pręgowane, dauw ma nogi białe; uszy i ogon zebry zupełnie do oslich są podobne, dauw ma ogon znacznie większy, uszy mniejsze, a tułów więcej wydłużony.

Większa jeszcze różnica zachodzi w obyczajach: zebra trzyma się miejsc górzystych, dauw przebywa wyłącznie w dolinach odkrytych, tak samo, jak kwaga; to też, jeśli z powierzchowności podobniejszy jest do zebry, z obyczajów daleko więcej się zbliża do kwagi, a ztąd boerowie nadają temu zwierzęciu nazwę kwagi pręgowanej.

Trzecia gromadka zwierząt, pasąca się na tej samej łące, niemniej łatwą była do rozpoznania po odrębnej, dziwacznej postaci i niezwykłych ruchach. Myśliwi nasi nigdy jeszcze przedtem nie widzieli antylopy krowiej, przezwaną *gnu*, ale tyle o niej słyszeli, że ani na chwilę nie wąpili o tożsamości zwierząt, które mieli przed sobą. A był to gatunek najokazalszy, tak zwane *gnu* pręgowane, któ-

re od zwyczajnych wyróżniają się i wzrostem nieco większym i skórą ozdobnie pręgowaną.

Szczególne to stworzenie podobne jest zarazem do konia, do krowy i do antylopy. Pięknem nazwać go w żaden sposób nie można, w całej postaci jego jest coś dziwnego, każda część ciała zdaje się, jakby pożyczona od innego zwierzęcia. Tułów ma podobny do konia, głowa szeroka z krótkimi rogami przypomina krowę, nogi jelenia, a puszysta grzywa, broda, i stercząca kita nad pyskiem, nadają zwierzęciu pozór groźny i śmieszny zarazem.

Oba gatunki gnu, pospolite i pręgowane, nigdy się nie trzymają razem. Pręgowane właściwie są okolicom więcej na północ wysuniętym, jedne i drugie pasą się zwykle w towarzystwie innych zwierząt, nie unikają wcale spotkania antylop odmiennego gatunku, pozwalają też zbliżać się do siebie zebrom, kwagom i strusiom; daleko więcej przyjaźni okazują tym wszystkim zwierzętom, aniżeli najbliższym, pokrewnym sobie, gdyż gnu pospolite uciekają na widok gromadki pręgowanych, a pręgowane znów nigdy się nie zbliżają do pospolitych.

Niema na świecie krainy tak obfitującej w różne zwierzęta roślinożerne, jak Afryka południowa. Wspaniałą jest widok tych łąk rozległych, po których płąsają ogromne stada antylop, zebra, podczas gdy strusie przechadzają się poważnie pomiędzy niemi, wyciągając długie szyje.

Młodzi nasi myśliwi zatrzymali konie i przez chwil kilka spoglądali z zachwyceniem na ożywione płąsy trzech gromadek, z których każda zarówno podniecała myśliwskiego ich zapał. Antylopy skaczące pasły się spokojnie, tylko ustawicznie podskakiwały swoim zwyczajem. Ruchliwsze było daleko stado dauwów, wszystkie biegały tu i owdzie, czy to dla zabawy, czy też w skutek jakiegoś niepokoju. W stadzie antylop krowich największy panował porządek. Po środku pasły się razem samice, w liczbie kilkudziesięciu, samcy rozstawieni byli dokoła małemi gromadkami, po trzech lub czterech, nakształt straży. Kiedyniekiedy jeden z samców wyciągał łeb, potrząsał grzywą i wydawał krzyk przeraźliwy; było to zapewne jakieś hasło, lub przestroga. Liczne stada antylop krowich nieraz tak godzinami całemi pasą się na jednem miejscu, a zawsze samcy stoją na straży dokoła.

Myśliwi nasi, narodziwszy się przez chwilę, postanowili uderzyć na antylopy krowie. Sądzili, że uda im się dogonić z nich parę bez wielkiej trudności na odległość strzału. Dość było wypuścić konie, żadne podstępny i podejścia nie były w tym razie potrzebne. Dauwy, pomimo swęj pię-

kności, nie były dla nich teraz pożądane, bo mięso ich nie jest jadalne, antylopy skaczące także pod tym względem nie używają dobrej sławy, ale pieczeń antylopy krowiej słynie z wytwornego smaku; a ponieważ im teraz głównie szło o zapewnienie sobie żywności, więc bez wahania wybrali tę ostatnią zwierzynę.

— Cóż to za ucztą będzie na wieczere! — zawołał Henryk, wskazując na stado, i myśliwi, nie wiele myśląc, śpięli konie ostrogami i pędem puscili się w tę stronę. Dzielne ogary pobiegły naprzód, pięć ich tylko zostało po stracie ulubieńca Williama; pies Henryka wyprzedzał wszystkie, jak wódz prowadził je do ataku.

W chwili, gdy młodzi myśliwi wypuścili rumaki, wszystkie zwierzęta, znajdujące się na łące, zaczęły umykać w różne strony, każde według swojego zwyczaju. Dauwy zebrały się w zbitą gromadkę i pobiegły prosto przed siebie; antylopy skaczące rozpiechły się w popłochu w rozmaitych kierunkach; antylopy krowie trzymały się taktyki zupełnie odrębnej. Najpierw uszykowały się także w jedną gromadkę i podbiegły naprzód, ale po chwili rozdzieliły się na dwie części, jedna skierowała się na prawo, druga na lewo i szybkim zwrotem utworzyły wielkie półkole, zachodząc myśliwych od tyłu.

W kilka minut łąka całkiem odmienny przedstawiała widok. Antylopy skaczące i dauwy znikły zupełnie w oddaleniu, tylko antylopy krowie pozostały, wiodąc szalone gonitwy ze sforą psów, która im drogę zagroziła. Stado rozprzęgło się zupełnie i rozpiechło na wszystkie strony; niektóre antylopy umykały z całych sił przed końmi, inne zaś, odbiegłszy nieco, zawracały się śmiało ze spuszczonei rogami i same występowały do walki, a wtenczas jeźdźcy musieli im ustępować z drogi, gdyż antylopa krowia jest niebezpiecznym przeciwnikiem i jak nie może konia powalić, a jeźdźca zdeptać kopytami. Postać ich w tym wojowniczym zapale wyglądała groźnie, małe oczki błyszczwały, jak rozżarzone węgle, grzywa nastroszona i sterczące kosmyki na głowie i szyi wstrząsały się gwałtownie, a rogi wystawione zdawały się wyzywać każdego śmiałka do boju.

Młodzi myśliwi nie mogli wyjść z podziwu, widząc, że samcy, zamiast pamiętać wyłącznie o bezpieczeństwie własnem i całej gromadki, często wśród popłochu, pogroziwszy rogami jeźdźcom lub psom, zaczynały się bić pomiędzy sobą i to wcale nie na żarty. Jak byki rozjuszone przypadały łbami jeden do drugiego i tłukły się z taką siłą, że słyhać było z daleka głuchy łoskot rogów uderzających o twardą czaszkę. Zajadłość ta ustawała w mgnieniu oka, gdy który z jeźdźców zbliżał

się do walczących i obaj samcy natychmiast umykali znowu szybko, tak, że żaden z naszych strzelców nie miał czasu wymierzyć i strzelić. I byłiby niezawodnie powrócili z próżnymi rękami do obozu, gdyby im psy nie dopomogły skutecznie.

Dzielne ogary wspólnem usiłowaniem odbiły od stada jednego wielkiego samca i zaczęły się za nim uganiać zawzięcie. Henryk i William wypuścili konie i popędzili za nimi, reszta jeźdźców podążała z tyłu jeden za drugim. Zwierz uciekał przez chwil kilka w prostej linii, potem nagle się odwrócił, przyskoczył do psów, pochwyił najbliższego z nich na rogi i odrzucił na bok, tak samo załatwił się z drugim i byłby może i reszty się pozbył kolejno, gdy spostrzegł zbliżających się jeźdźców i znów umykać zaczął co żywo.

Las był niedaleko, antylopa widocznie miała nadzieję dotrzeć do niego i ukryć się w gęstwinie, ale sił jej zabrakło i chciała raz jeszcze spróbować rozpaczliwej walki z napastnikami. Odwróciła się, ale nim zdołała pochwyć którego z psów, ogar Henryka zawisł jej u szyi i obezwładnił, a dwaj myśliwi nadbiegli i dwiema celnymi kulkami położyli ją trupem na miejscu. Domyślcie się, że kulki te wypadły ze strzelb Henryka i Williama.

XXI.

Nosorożec.

Hans i Arend nadbiegli prawie w tej samej chwili i byli świadkami bohaterских czynów braci; później nieco przybyli Klaas z Jankiem na zdyszanych swoich kucykach. Wszyscy nasi myśliwi zsiadli z koni, puścili je wolno, aby odetchnęły, a sami zabrali się do zdjęcia skóry z antylopy.

Starsi mieli sobie wyznaczone zajęcia w podróży. Arend trudnił się kuchnią, Henryk i William dostarczali zwierzyny i oporządzali mięso do kuchennego użytku. Hans mógłby być przeważnie ogrodnikiem, gdyż wziął na siebie zaopatrywanie szpitalni różnymi roślinnymi zapasami; znając doskonale botanikę, mógł on wybierać w lesie i na łąkach jadalne owoce, korzonki i warzywa, które bardzo obficie wyrastają w Afryce południowej. Dwaj najmłodszy dopomagali braciom we wszystkiem.

Henryk i William bardzo zręcznie zdjęli skórę z zabitej antylopy, Hans i Arend oczyścili tymczasem głowę jej i rogi, gdyż piękna ta zdobycz miała być przechowana starannie i umieszczona po powrocie w wielkiej izbie gościnnej van Bloomów lub van Wyków. Było tam już nie mało podobnych ozdób, które podniecały od dawna zapał myśliwski młodzieńców. Brakło jednak dotąd w tym zbiorze rogów antylopy krowiej, gdyż

gatunek ten dość jest rzadki i przytrafia się tylko w okolicach znacznie wyżej w głąb łądu posuniętych.

Klaas i Janek ochoczo dopomagali starszym, to nóż podając, to podtrzymując części skóry i mięsa, które tamci odcinali; malcy największą w tym mieli przyjemność, gdy mogli przydać się na co brać. Wszyscy więc razem pochyleni byli nad szczątkami antylopy i tak zajęci swoją robotą, że wzroku od niej nie odwracali, gdy uszu ich doleciał odgłos dziwny, nieznan, który takie na nich wywarł wrażenie, że zadrżeli od stóp do głowy i zerwali się na równe nogi. Było to coś nakształt chrząkania, zmieszanego z sapaniem, przypominało chrząkanie świni, ale chyba całej gromady świń. Słychać też było jednocześnie chrzęst łamiących się gałęzi w pobliżu.

Pomimo niepospolitej, odwagi, myśliwi nasi przerazili się, usłyszawszy ten głos, zbliżający się szybko, a widok, który się oczom ich przedstawił, uspokoić ich nie mógł. To pewna, że starsi i doświadczeni od nich ulegliby się obaczywszy nagle przed sobą tak straszliwe stworzenie.

Ogromny zwierz czworonożny wysunął się z lasu, łamiąc i gruchocąc drzewa po drodze; dość było spojrzeć na wielki róg sterzący mu na nosie, na cielsko szerokie, ociężałe, aby poznać nosorożca. W Afryce przebywa cztery gatunki tych olbrzymich zwierząt; ten, który się ukazał młodemu naszym myśliwym, odznaczał się podwójnym rogiem i ciemną barwą skóry; był to nosorożec czarny, najdrapieżniejszy ze wszystkich i najsilniejszy.

Wydobywszy się z gęstwy leśnej, zwierz przyspieszył kroku i podskakując puścił się prosto w stronę, gdzie stali młodzi myśliwi. Głowę miał podniesioną do góry, poruszał uszami i wywijał zuchwale małym ogonkiem. Oczy jego miały blask złowrogi, a w ruchach i głośnień chrząkaniu było coś tak groźnego, że mrowie przeszło nawet Henryka i Williama.

Młodzieńcy nie mogli wątpić, że straszny ten nieprzyjaciel chciał napaść na nich, nieraz już słyszeli o drapieżnych zwyczajach czarnego nosorożca, który rzuca się z równą śmiałością na najsilniejsze zwierzęta i na ludzi. Położenie ich było nadzwyczaj niebezpieczne; najdzielniejszy myśliwy nie mógłby bezkarnie wystąpić pieszo do walki z nosorożcem.

Na szczęście nie rozsiodłali koni i urządzili się w taki sposób, że w mgnieniu oka mogli je odwiązać, a raczej nie potrzebowali wcale ich odwiązywać; uczepili uzdy do cienkich gałązek, dostatecznych do zatrzymania posłusznych rumaków, zwłaszcza gdy były znużone, ale najlżejsze pociągnięcie wystarczało na to, aby przełamać gałęzie i zerwać

zdy. Starzy ojcowie nauczyli ich tego sposobu, który nieraz w nagłym niebezpieczeństwie uratował życie podróżnika na puszczy i wielkie to było szczęście dla nich, że tej dobrej rady usłuchali tą razą.

Łatwo sobie wyobrazić, że na widok nosorożca młodzi myśliwi rzucili natychmiast antylopy i z okrzykiem przerażenia poskoczyli do swoich koni, jednym susem na nie wskoczyli i silnym szarpnięciem zerwali uzdy z drzew. Bardzo nie wiele na to mieli czasu, kilka sekund zaledwie, w chwili, gdy pomknęli z miejsca, dziki zwierz był już tak blisko, że konie przestraszone zaczęły skakać i wierzgać, a ze dwóch jeźdźców o mało nie spadło na ziemię, co byłoby ich niezawodnie o śmierć przypawiło. Szczęściem jednak wszyscy utrzymali się na siodłach i cwałem puścili się przez równinę, a rozjuszony nosorożec pogonił za nimi sapiąc i chrząkając zajadłe.

Ale teraz myśliwi nasi już się nie obawiali tej pogoni i starsi mieli ochotę uśmieć się porządnie ze swojej przygody, wiedzieli bowiem, że nosorożec nie może prześcignąć dobrego konia, a mogli zafać dzielnym swoim rumakom. Henryk i William jechali przodem, a uspokoiwszy się zupełnie, odwrócili się, chcąc spojrzeć na daremne usiłowania zwierzęcia. Lecz wnet stracili ochotę do śmiechu, a widok który się oczom ich przedstawił, przeraził ich na nowo.

Młodzińcy jechali po dwóch jedni za drugimi. Henryk i William, jak widzieliśmy, odbiegli najdalej, Hans i Arend pośpieszali za nimi i wszyscy czterej nie mieli już się czego obawiać; ale Klaas i Janek nie mogli zdążyć za starszymi braćmi i pozostali znacznie w tyle, a nosorożec szybko się do nich zbijał.

Czterej młodzińcy zadrżeli na ten widok; oni na swoich koniach nie obawiali się pogoni nosorożca, ale małe kucyki chłopaków nie przedstawiały takiej rękąjmi bezpieczeństwa. Drapieżny zwierz mógł ich dogonić, a wtenczas zguba ich była nieunikniona; straszliwy potwór rozszarpałby w mgnieniu oka koniki, a jeźdźców zgniótlby jak muchy pod nogami. Nie było czasu do stracenia, przestrzeń dzieląca dwóch malców od nosorożca szybko się zmniejszała.

Strasza to była chwila! Lecz Henryk nie stracił głowy i z dziwną przytomnością umysłu wykonał manewr nadzwyczaj śmiały i zręczny. Zawrócił konia i skinąwszy na Williama, puścił się naprzeciw nosorożca, zbaczając nieco na lewo. William zrozumiał dobrze skinienie brata i popędził za nim, kierując się na prawo. Wkrótce sta-

nęli i nabili strzelby. Janek i Klaas przebiegli pomiędzy nimi, potem nadciągnął nosorożec. Henryk i William strzelili do niego jednocześnie, szybko nabili broń powtórnie i puścili się w pogoń za zwierzem, który się nie wstrzymał w biegu, choć obie kule go dosięgły. Jednak po chwili nosorożec widocznie słabnąć zaczął, a gdy drugie dwie kule ugodziły weń znowu, odwrócił się ze wściekłością i zaczął biedz w stronę, gdzie stał jeden z napastników jego. Ale obaj jeźdźcy nadzwyczaj zręcznie go unikali, co tém łatwiej im przychodziło, że nosorożec zanadto jest ociężały aby mógł się prędko obracać. Walka trwała z kwadrans; obaj strzelcy raz po raz strzelali, nabijając broń szybko, a nosorożec rzucał się zajadłe to na jednego, to na drugiego, nie mogąc ich jednak dosięgnąć. W końcu celny strzał Williama ugodził w samą czaszkę olbrzymiego zwierza, który runął martwy na ziemię.

Głośne okrzyki powitały to świetne zwycięstwo, a jeźdźcy zsiadli z koni i przypatrywali się zblizka szczątkom potwornego zwierzęcia, które przestało im zagrażać. William wyruszył śpiesznie do obozu i wnet powrócił, wioząc siekierkę, odrąbał nią potężny róg nosorożca i dołączył tę zdobycz do licznych innych, które miały świadczyć o ich myśliwskich tryumfach.

Potem powrócili do antylopy, pokrajali mięso na ćwierci i odwieźli je do obozu.

XXII.

Przerwane śniadanie.

Nazajutrz młodzi myśliwi spali dłużej niż zwykle; ostatni to był dzień, który spędzić mieli w tém miejscu, nie myśleli też o żadnym polowaniu, gdyż konie ich potrzebowały odpocząć przed dalszą podróżą.

Wstawszy więc dość późno, przyrządzili sobie śniadanie złożone z ozora antylopy krowiej z dodatkiem wyborniej kawy i chleba, który im jeszcze pozostał z podróжных zapasów. Chleb ten co prawda nie był już wcale świeży, ale nasi myśliwi nie bardzo się o to troszczyli, że im wkrótce zabraknie tego pokarmu, który w Afryce nie jest tak nieodbitą potrzebą, jak u nas, lecz raczej zalicza się do zbytków, nieznanym większej części mieszkańców. Nie tylko krajowcy, ale i wielu osadników europejskiego pochodzenia nigdy tam nawet nie kosztuje chleba.

(D. c. n.).

Zagadka historyczna z nagrodą (G. K.).

(Kto nadeśle najlepsze rozwiązanie, otrzyma książkę pod tytułem: *Młodzi żeglarze Mayne-Reida*, a rozwiązanie będzie wydrukowane.)

W pierwszej połowie XIV wieku panował monarcha, posiadający niezbyt rozległe, ale zamożne i silne królestwo, które wzrastając w dostatki, nazwę *kwitnącego* przybrało.

Mając ustawiczne zatargi z Zakonem, osiadłym w jego kraju, utracił król ten prowincję, z wielkim niezadowoleniem narodu, chociaż dwie inne odzyskał.

Wchodził w układy z sąsiednim monarchą, uzyskał od niego zrzeczenie się tytułu, do którego sam tylko miał prawo, za co wszelako utracił nazawsze prawo do posiadania księstwa, należącego do jego przodków. Natomiast przyłączył do kraju rozległe i bogate inne księstwo.

Pamiętny jest król ten przez czyny pokojowe więcej niżli przez wojny i podboje. Nadał on narodowi prawa, zebrał je w księgę, która nosi nazwę *łacińską*. Założył akademię w jednym ze znaczniejszych miast, które za panowania tego monarchy stolicą kraju zostało.

W osobie jego wygasła linia mężka dynastii, która przez kilka wieków krajem rządziła. Nie mając potomka po mieczu, mianował następcą za zgodą narodu krewnego po kądzieli.

Otrzymał aż dwa przydomki zaszczytne, pozyskał wielką miłość narodu, a po zgonie powszechnie był żalowany.

Jak się nazywał ten król?

Łamigłówa metamorfoza (Rózia D.).

Gdy imion naszych głoski początkowe

Zamienimy między sobą,

Stanie się dziwo metamorfozowe,

Ty będziesz mną — a ja Tobą.

Łamigłówa głoskowa odwrotna.

. um .
. la .
. st .
. or .
. ed .
. ól .
. ra .

Dość litery na miejscu kropek, tak, ażeby początkowe od góry do dołu, a końcowe naodwrot utworzyły nazwę znakomitej współczesnej Polki.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.**Sz a r a d y:**

Paw — li — na.

Zagadki głoskowej:

b a b a z *) w o z u **)
u l a r n a b a k
r e w a a w r n l
a p ó g i e ó t e
k o ł o m l ż e j

Odpowiedzi od Redakcyi.

Masi H. w Warszawie. Dodatek powieściowy odesłaliśmy według wskazanego adresu. Poczciwe serduszko miłej naszej korespondentki odgadło powód, dla którego nie zamieściliśmy dotąd zagadki historycznej, ale się poprawimy w następnym N-rze. Co do osobistości Kazia, który pisuje w *Wieczorach* do swoich młodych przyjaciół, on sam podał szczegóły dokładne o sobie w N-rze 13 *Wieczorów Rodziny* z r. 1881; odsyłamy więc do tego listu w wszystkich ciekawych czytelników.

Stasi P. w Ekaterynławiu. Dziękujemy serdecznie za ładny śpiew, który zamieścimy w następnym miesiącu. Polecamy się i nadal pamięci szanownego Ojca.

Bohdusiowi Sz. w Trybuchach. Takim kochanym czytelnikiem nic nie możemy odmówić, wysłaliśmy też natychmiast żądany Nr. *Wieczorów* i kartkę dodatku. Cieszymy się, że ten mały kłopot zmusił naszego korespondenta do napisania tak ładnego liściku. Dziękujemy bardzo za wiadomość, że *Obrazek sceniczny* pani Duchinińskiej z takim powodzeniem był odegrany. W roku bieżącym podajemy obfitość obrazków dramatycznych, stosownych do przedstawień domowych, z czego zapewne kochani czytelnicy są zadowoleni.

K. Mad. pod Krzepicami. Nieraz już w odpowiedziach tłumaczyliśmy młodym korespondentom, że łamigłówa zgłoskowe nie mogą być drukowane w *Piśmie naszym*, jeżeli tylko początkowe litery wyrazów mają pewne znaczenie, bo takie zbyt łatwe są do układania i odgadywania. Prosimy o inną, podług reguł ułożoną.

Karsi Gr. w Józków Rogu. Odpowiedź obszerniejszą przesłaliśmy przez pocztę.

Pani E. Ł. w Skulanach. Książeczki wysłane przez księgarnię pana Orgelbranda.

*) Miasto w Morawii **) Gatunek ryby.